

RECENZJA

WITKACY W BECZCE

JOANNA
TARGOŃGAZETA
WYBORCZA

VERO RODOWICZ



Poza zmęczeniem widza niewiele ze spektaklu wynika. W środku odgrywający główną rolę Marcin Czarnik

• Beczka jest duża, półprzezroczysta, przypomina ozdobną szklankę. W beczce siedzi Gyubal Wahazar; wyłazi z niej od czasu do czasu, by podskoczyć, pokrzyknąć, porządzić. I z powrotem do beczki. Czasami beczka poturla się po scenie. Jest częścią starannie obmyślanej i wykonanej szklano-metalowo-futurystycznej scenografii, przypominającej scenę filmów science fiction z lat 60. Pasujące do scenografii „kosmiczne” dźwięki dobywa ze stojącego z boku sceny tereminu doktor Rypmann (Krzysztof Zawadzki). Ale dlaczego reżyser uznał, że taka sceneria będzie odpowiednia dla tego dramatu Witkacego? Zwłaszcza że w czasie spektaklu nijak się ta decyzja nie wyjaśnia, dekoracja stoi sobie, błyszcząc, rozświetlając się na zielono, niebiesko czy fioletowo, czasami coś się opuszcza z góry, czasami coś przesuwa na dół.

W takiej sztywnej (bo nic poza wyborem estetyki niekomunikującej) scenografii rozgrywa się bajka o dyktatorze w beczce, czyli Gyubalu Wahazarze (Marcin Czarnik), podskakującym i pokrzykującym półnagim wulkanie energii, sprawującym władzę nad niezbyt liczny społecznością. Świątek zredukował do kilku osób dość liczny u Witkacego obsa-

dę; w oryginale od Wahazara zależy los ludzkości, u Świątki - kilku osób, co sprowadza konflikt do wymiaru towarzyskiego. Może taka redukcja miałaby sens (Wahazar i jego laboratorium), gdyby nie kwestia podstawowa: nieumiejętność mówienia tekstem Witkacego. Nie spodziewałam się, że usłyszę jeszcze charakterystyczną manierę radzenia sobie z Witkacym - skoro pisał trudno i dziwacznie, mówmy to z dystansem, może coś z tego wyniknie. Otóż nic z tego

nie wynika poza zmęczeniem widza, a także upewnieniem go, że w gruncie rzeczy niewiele w tym gadaniu ciekawego, może poza paroma dowcipami. Świątek, reżyser młody, nie mógł oglądać nieudanych wystawień Witkacego, pleniących się lata temu dość licznie, ale pewne aktorskie maniere mają wieczny żywot. Ale może tak miało być, może ten irytujący dystansik w głosie, łączący się z zamilowaniem do dziwnych póz cielesnych podobał się reżyserowi, który

w przedpremierowych wypowiedziach deklarował, że nie chce Witkacego pomnikowego, wymądrzającego się znawcy metafizyki, ale Witkacego - szekspirowskiego błazna. No i się to w pewnym sensie udało: nikt się nie wymądrza, wszelkie przejawy myśli zostały skrzętnie ukryte, tyle że błazeństwo prezentowane na scenie jest średnio atrakcyjne.

Skoro reżyser skasował tekst, a także, co za tym idzie, relacje międzyludzkie (bo nikt tu z nikim nie dialo-

guje, poprzestając na prezentacji siebie), co pozostało? O czym jest ten spektakl? Wydaje się, że tylko o tym, jak zrobić „Gyubala Wahazara”, żeby było atrakcyjnie, żeby pokazać, jaki to jest dziwny i dodać własne dziwności, odległe skojarzenia - tak jak Kobietona (Paulina Puślednik) tańczącego taniec Wybranej ze „Święta wiosny” czy recytującego w finale modlitwę po hebrajsku płynnie przechodzącą w japońską piosenkę o księżniczce Mononoke.

Tematy, jakie przy pewnym wysiłku da się wygrzebać spod nadmiaru pomysłów, są, owszem, ciekawe - rozmaite próby uszczęśliwienia ludzkości przemocą, czy to przez hodowanie indywidualności, czy zmianę płci, czy też wiarę w absolutną wiedzę. Ale z dysput prowadzonych przez Wahazara i jego oponenta ojca Unguentego (Adam Nawojczyk) zapamiętuje się zamiast słów czerwoną gębę pierwszego i sterczące siwe brwi drugiego. Przy czym ani jeden, ani drugi nie wydaje się szczególnie zainteresowany własnymi poglądami, a ewentualne wprowadzenie ich w życie nie w świecie nie zmienia, bo na scenie nie ma żadnego świata, zaledwie kilkorozmiennie ukostiumowanych aktorów. •

Stary Teatr, „Gyubal Wahazar” wg Witkacego.

Reżyseria - Paweł Świątek,
scenografia - Marcin Chlanda,
kostiumy - Konrad Parol,
choreografia - Dominika Knapik.
Premiera 28 lutego 2015